

Ja mam dwie ręce i nimi kręcę, a ty masz gały, żeby patrzyły

9 października 2013

Niedawno odnowiłem umowę z operatorem telefonu komórkowego. Z żadną tam firmą-krzak, lecz należącą do wielkiej międzynarodowej korporacji, notowanej na giełdach całego świata. Ponieważ ostatnio dużo rozmawiam, z pomocą miłego i pomocnego konsultanta telefonicznego wybrałem zupełnie inne warunki niż do tej pory; miałem płacić nieco więcej, ale już nie martwić się, że przekroczę limity przydzielonych minut i każda dodatkowa będzie mnie słono kosztować. Pan konsultant polecił mi nowoczesny aparat i poradził, że jeśli będę chciał czasem skorzystać także ze starego, dobrze by było, gdybym kupił za jedyne 10 zł adapter karty SIM, bo nowa karta nie pasuje do starszych urządzeń. Dogadaliśmy się, podpisaliśmy umowę, a ponieważ akurat nie było w magazynie ani takiego aparatu, jaki sobie wybrałem, ani adaptera, przyniósł je kilka dni później kurier.

Po miesiącu dostałem rachunek do zapłacenia. Był on o kilkadziesiąt złotych wyższy, niż się spodziewałem. Ale pamiętałem, jak konsultant mówił, że do pierwszego rachunku zostaną dołączone wszelkie dotychczasowe zaległości, a poza tym nie miałem akurat czasu i głowy, żeby to wszystko sprawdzać, więc pocieszyłem się myślą, że właśnie pozbyłem się jakichś zadawnionych zobowiązań i od tej pory wszystko będzie, jak planowałem. Niestety, po miesiącu rachunek przyszedł znów o kilkadziesiąt złotych wyższy, niż oczekiwałem. O dziesięć złotych niższy co prawda, niż poprzedni, ale nie taki, na jaki się umawiałem. Zadzwoniłem na infolinię. I tam okazało się, że wszystko jest jak najbardziej w porządku. W tym miesiącu nie przekroczyłem limitu i zapłaciłem tyle, ile miałem zapłacić, miesiąc temu zapłaciłem dokładnie tyle samo, i jeszcze

dziesięć złotych za adapter karty SIM.

No, tu już mną trochę zatrzęsło. Wziąłem do ręki umowę i przeczytałem tym razem konsultantce, miałem to czarno na białym, że przecież umawiałem się na niższą kwotę. Ale miła pani po drugiej stronie słuchawki poinformowała, że mój troskliwy operator zaopatrzył mnie nie tylko w te usługi, które były zapisane w umowie, ale także w kilka innych niezbędnych udoskonaleń, takich jak puszczanie osobom chcącym się ze mną połączyć muzyczki do słuchania czy esemesy z jakimiś ważnymi informacjami biznesowymi, pogodowymi i innymi (przychodziły, ale brałem je za uporczywy spam i od razu kasowałem). Poza tym okazało się, że połączenie internetowe po wyczerpaniu niewielkiego limitu darmowych megabajtów nie zwalnia prędkości, jak zapewniał mnie pan konsultant, ale zamienia się w drogi płatny pakiet. A że nowoczesne telefony łączą się z Internetem stale...

Długo trwało odkręcanie radosnej twórczości poprzedniego konsultanta i rezygnowanie z tych wszystkich dodatków. Oczywiście pieniędzy za dwa miesiące niekorzystania z niezamówionych usług nie dało się już odzyskać. Na koniec wygłupiłem się upierając, że żadnego adaptera karty SIM nie dostałem. Bo rzeczywiście, w przesyłce nie było zupełnie nic, co wyglądałoby na urządzenie o wartości 10 zł. Dopiero konsultantka uświadomiła mi, że ów tajemniczy adapter to kawałek plastiku o wielkości może centymetr na półtora i wadze może ćwierć grama. Kosztuje to w budkach z telefonicznymi gadżetami kilkadziesiąt groszy, co i tak jest ceną sporo przesadzoną.

* * *

No i tak sobie siedzę wściekły. Bo przecież dałem się podejść jak dziecko, okazałem się frajerem, którego można strzelić na jakąś stówę, można wepchnąć mu za dziesięć złotych coś, co warte jest może z grosz, a za kolejne złotówki coś, co nie jest warte splunięcia (ta muzyczka chociażby czy esemesy z

ogólnodostępnymi informacjami). I oczywiście zaczynam obwiniać siebie: że nie znam się na sprzęcie, że nie czytam dokładnie umów, które podpisuję, a jeszcze dokładniej tego, co w nich małym druczkiem. Że wykazuję się brakiem czujności, naiwnością, ufnością, mimo że przecież wiem doskonale, że kapitalizm to nic miłego, a przedsiębiorstwa są w nim po to, żeby generować zysk, a nie po to, żeby zaspokajać moje potrzeby. Przypominam sobie podobne przygody. Jak kiedyś za namową osoby zwanej doradcą bankowym skusiłem się na kredyt odnawialny o w miarę przyzwoitych odsetkach, które (co było napisane w umowie małym druczkiem i w zadziwiającym miejscu) po kilku dniach stawały się lichwiarskie. Jak kupiłem komputer, który okazał się mieć zupełnie inne (oczywiście gorsze) parametry, niż twierdził sprzedawca i kartka informacyjna w renomowanym sklepie. Jak dałem się nabrać kilku pracodawcom, którzy potrzebowali mojej pracy natychmiast, mówili że nie ma czasu na sporządzanie umowy, no ale przecież polecił mnie wspólny znajomy... Jak dałem się oszukać innym pracodawcom, którzy obiecywali kwotę netto, a płacili brutto...

I jeszcze przypominam sobie przygody moich znajomych. Jeden, jak i ja prekariusz, dla fasonu nazywający się freelancerem, postanowił oszczędzać na starość i założył w banku dobrze oprocentowaną lokatę, która – znów małym druczkiem – okazała się spekulacyjnym funduszem obłożonym zabójczymi prowizjami, które przez kilka lat zjadły trzy czwarte kwoty („Masz to jak w banku” – mówiło się kiedyś. Boże, kiedy to było?). Inny, wśród uśmiechów, z kawką i ciasteczkami, podpisał umowę na korzystny kredyt, który po doliczeniu wszystkich prowizji, ubezpieczeń i ubezpieczeń ubezpieczeń, okazał się zabójczy. Inni, wielu takich młodych, którzy uwierzyli stażodawcom, że jeśli zostaną na kolejne bezpłatne trzy miesiące, to później już na pewno otrzymają płatną umowę. Inni – starsi państwo – kupili grzejnik antyreumatyczny opracowany w kosmicznych laboratoriach NASA, a później zobaczyli taki sam w sklepie, dwudziestokrotnie tańszy.

A potem pokrzepiam się przypomnieniem sobie, że przecież już nie za każdym razem daję się nabrać, sfrajerzyć, zrobić w wała, w bambuko, że użyję tu tylko cenzuralnych określeń. Że już na wszelki wypadek nie daję sobie wcisnąć żadnych bankowych udogodnień i odrzucam wszelkie propozycje spotkań z doradcami, że czytam uważnie umowy (teraz zagapiłem się, wstyd mi), że wiem, że trzeba wszystko mieć na piśmie. Że aby nie czuć się jak ostatni frajer, na wszelki wypadek traktuję doradców, sprzedawców, konsultantów – a zwłaszcza ich przełożonych, wymyślających te wszystkie marketingowe sztuczki i cisnących podwładnych, aby za wszelką cenę wciskali ludziom różne niepotrzebne rzeczy, wyciskając w zamian ich pieniądze i ufność – z góry jak oszustów. Oczywiście takich oszustów, którzy w razie czego są kryci, mogą przecież pokazać umowę z trzydziestym siódmym punktem zapisanym maczkiem i powiedzieć: trzeba było czytać uważnie, trzeba było nie dać się zbajerować miłemu konsultantowi, trzeba było pilnować swoich interesów, trzeba było się znać na parametrach urządzeń, paragrafach prawa, stopach i procencie składanym, trzeba było wiedzieć, co to jest adapter karty SIM – frajerze! Jak ci artyści marketingu stojący niegdyś na Bazarze Różyckiego z trzema kartami i pokrzykujący: „Ja mam dwie ręce i nimi kręcę, a ty masz gały, żeby patrzyły!”.

No ale potem myślę o kontaktach z potencjalnymi nowymi pracodawcami, którym nie mogę przecież z góry okazywać nieufności, żądać natychmiast precyzyjnych umów i zabezpieczać się na wszystkie strony, bo przecież w ten sposób przekreślałbym swoją szansę na pracę i zarobek. Więc także dla ratowania własnego samopoczucia zgadzam się na rozpoczęcie pracy przed podpisaniem umowy, ale tak na wszelki wypadek przygotowuję się gdzieś tam w głowie do tego, żeby w razie czego nie wyjść, przed sobą samym, na ostatniego frajera, móc powiedzieć sobie: wiedziałem, że to oszust, przejrzałem jego intencje i sztuczki, no ale co miałem robić? Oczywiście, lepiej później musieć przyznać, że się niesłusznie źle myślało o człowieku czy firmie, zwłaszcza że przecież myślało się dla

siebie, nie zrobiło się im żadnej krzywdy, niż znowu wyjść na frajera i to permanentnego, takiego, co to go już tyle razy ograli w trzy karty, a który wciąż przystępuje do gry i wciąż głupi nie rozumie, że w to nie da się wygrać...

No ale w końcu myślę sobie, że te wszystkie reakcje obronne, nawet słuszne – to ciągłe profilaktyczne uważne czytanie umów, celowo konstruowanych tak, żeby nie dało się ich zrozumieć, to patrzenie na ręce urzędnikom bogatych banków, agentom wielkich firm ubezpieczeniowych, sprzedawcom w sieciach sklepów, odkładanie słuchawki, kiedy tylko zabrzmi w niej głos telemarketera – to są objawy jakiejś potężnej aberracji. Przecież porządny człowiek powinien ufać innym ludziom, niezależnie od tego, jaki zawód wykonują i w jakiej społecznej roli występują. Nie może być tak, że w obronie przed gangsterami zaczyna się patrzeć na świat jak gangster. Przecież tak właśnie być powinno, tak właśnie jest dobrze, kiedy wierzy się człowiekowi, gdy coś mówi. Przecież krzywdzimy wielu porządnym ludzi podejrzeniem, uprzedzeniem, oczekiwaniem od nich najgorszego, tym łapaniem się w ich towarzystwie za portfel; krzywdzimy nawet wtedy, gdy nie wychodzimy z tym na zewnątrz. Przecież te odruchy zaczynają rządzić naszym życiem, odzywają się w relacjach z innymi ludźmi, i to także tymi najbliższymi. W końcu nieufność rozlewa się po duszy czarnym cieniem, pokrywającym całą paletę barw naszych bliźnich.

Przypomina się tu dobrze opisana przez artystów słowa, historyków i socjologów, mentalność pańszczyźnianych i popańszczyźnianych chłopów, których utrwalone doświadczenia kazały im wciąż obawiać się krzywdy i oszustwa. Powodowało to chroniczną nieufność i niechęć do innych, ale także usprawiedliwiała własne nieuczciwości, popełniane nawet nie z chęci zysku, ale z potrzeby złagodzenia poczucia bycia ofiarą wykorzystania. W końcu skoro pan mógł bezkarnie gnać chłopą do roboty, podnosić normy, oszukiwać na obrachunku, a w wolnych chwilach gwałcić żonę i córkę, to kradzież drewna z pańskiego

lasu zyskiwała walor terapeutyczny. Dziś, zachowawszy wszelkie proporcje, możemy zaobserwować podobne zjawiska w umysłach ludzi wolnych, choć przecież zależnych od jednostek i instytucji potężniejszych od siebie.

* * *

System, w którym przyszło nam żyć, a w którym zarabianie pieniędzy jest najwyższą cnotą najsilniejszych, jest trochę jak mityczna wróżka Kirke. Posiadał umiejętność – przynajmniej w pewnym stopniu – zamieniania ludzi w świnie. I naprawdę trzeba być mądrym jak Odyseusz, by obronić się przed takim czarem. Jeśli ktoś zna jakieś kontrzaklęcie, proszę, by mi je zdradził. Ja tymczasem mam tylko taki pomysł, by o tych czarach pamiętać, mówić głośno i także głośno mówić o tym, że dobrze jednak jest być marynarzem, a nie świnia.

I mam ponadto taką refleksję. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu właściciele fabryk na całym świecie, prywatni i państwowi, nie przejmowali się oczyszczaniem spalin ani ścieków. Po prostu zarabiali, brali pieniądze do kieszeni, a odchodami, których w tym procesie nie dało się uniknąć, obdzielali nas wszystkich. Zyski były prywatne lub państwowe, a koszty publiczne. W końcu jednak podtruwani ludzie zaczęli domagać się zakładania filtrów na kominy i upusty, słusznie przecież obawiając się o to, co wspólne i wszystkim nam niezbędne. No i w pewnym przynajmniej stopniu udało się fabrykantów zmusić – bo przecież nie uprosić – do myślenia o czystości powietrza, wody i ziemi. Może warto byłoby teraz pomyśleć o ekologii naszych umysłów i wzajemnych relacji i w końcu zacząć domagać się, aby to właśnie ci, którzy zarabiając niewyobrażalne pieniądze wypuszczają między nas swoje ścieki, masy moralnego brudu, który powstaje w tym procesie, zaczęli ponosić za to odpowiedzialność.

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)